

Człowiek, który uciekł z miasta

Z przeciwka nadjeżdża wóz zaprzężony w dwie cherylawe szkapiny. Pytamy — „gdzie tu mieszka Jerzy Krawczyk?”. Gospodarz drapie się po nieogolonej brodzie i mówi wolno cedząc słowa — „Krawczyk? Nie, nie znam takiego”. Podpowiadamy więc — wie pan, to taki chłop z miasta. „Ach ten — gospodarz się uśmiecha — wiem gdzie mieszka, na Zwierzynie”.

Od głównego asfaltowego traktu zjeżdżamy w polną drogę. Mijamy Radgoszcz, wieś mizerniutką, ukrytą w lesie. Po drodze oglądamy dwie chałupy na wpół rozwalone — gospodarka zaniedbana. Za chwilę Mokrzec. I rzeczywiście wóz wpada w bajoro powstałe po niedawnym deszczu. Szczęście, że nie utknęliśmy. I tak dobijamy po kilku minutach do Zwierzyni. Nie pytając już nikogo, szukamy Krawczykowego obejścia. Z dala widać znak rozpoznawczy o którym mówiono nam w Międzychodzie. Obok domu stalowa, kilkunostronowa wieżyczka, przypominająca szyb wiertniczą.

Gospodarz jest na miejscu. Prowadzi właśnie do stajni dorodną żrebną klacz.

Dlaczego zjawiał się na wsi?

Wielu ludziom w okolicy, w Międzychodzie a także w Poznaniu nie daje spać myśl, dlaczego człowiek wychowany i zasiedziały — tak jak Krawczyk — w mieście wojewódzkim, mógł zdecydować się na „samo-bójczy” krok (tak to niektórzy dosadnie określają) przeniesienia się na wieś, o której co złośliwi mówią, że tu właśnie „diabeł mówi dobranoc”. Snują więc ludzie domysły, odsądza ją go od czci i wiary i czekają od trzech lat — jak się zdaje — na ogłoszenie listów gończych lub bóg wie czego. Smaczku dodaje fakt, że Krawczyk przyjechał z Poznania, gdzie miał dość wygodne warunki bytowania, do zapadłej wsi, niezelektryfikowanej i prymitywnej. Kupił gospodarstwo, chociaż nie miał wcale pojęcia o pracy na roli. Za ten krok, co prawda, musiał wielokrotnie zapłacić słońce „frwcowe”. Płaci zresztą do dziś. Od trzech lat.

*

Wiesz nie przyjęła „miastowego” z otwartym sercem. Nieufność wzięła górę. I drwina. Starzy gospodarze, pa trząc na niewprawne do roli, choć silne ręce byłego mistrza Polski w zapasach z 1952 r. (ale o tym dowiedzieli się dopiero później), pokiwali sobie z niego i stukali znacząco w czoło. Nie można powiedzieć, aby mu żalowali rad. Owszem radzili, ale tak, żeby stłamsić jego odwagę. Zaczął więc płacić Krawczyk „frajerskie” na wszystkie strony, poczynając od sumy za jaką przyszło mu kupić 13 ha marnej ziemi (klasa IVb, V, VI) i zaniedbane gospodarstwo. Dawny właściciel usunął wszystko, co się

tylko dało, wywioził nawet co do grama cały obornik. Poza zabudowania pozostawił tylko bronę, a raczej rzecz przypominającą bronę.

Niespokojny duch...

Zanim udaliśmy się do Zwierzyni, rozmawialiśmy w Komitecie Powiatowym PZPR z sekretarzem — Marianem Łysiakiem. Słuchając opowieści o Krawczyku mimo woli na myśl przychodził bohater Cervantesa. Jest w nim bowiem coś z donkiszoterii. Występuje sam przeciwko narosłym od lat pojęciom, zwyczajom i... ludziom. Krawczyk przyjechał na wieś, założył gospodarstwo, lecz nie chce na niej pracować tak jak inni czynią to od wieków. Sekretarz mówi o nim życzliwie, ale i z troską. Już na samym początku — jego zdaniem — Krawczyk popełnił dwa błędy:

po pierwsze — gospodarstwo kupił za drogo, nikogo się jednak nie raził więc stracił dystans już na samym starcie;

po drugie — zaczął gospodarować na sposób zbyt nowoczesny, przesko czył wszystkich okolicznych gospodarzy rozumowaniem, przy słabym opanowaniu praktyki.

W tej wegetującej wsi postawił na pełną mechanizację, bez środków na poparcie tych zamierzeń. M.in. zamiast kupić konia i wóz zdał się cał kowicie na kółko rolnicze. I tu prze-gięł pierwszą stawkę. Ludzie z kółka rolniczego, niechętni inteligentnemu intruzowi, czynili wszystko, aby „rozłożyć” niedoświadczonego sasiada. Sposobów na to jest zresztą bez liku. Można np. odmówić wykonania prac polowych. Albo opóźnić o kilka tygodni siewy. Tak zdarzyło się jesienią 1965 r. Kółko rolnicze zasiało Krawczykowski — jako jedynemu we wsi — żyto w trzeciej dekadzie października, podczas gdy optymalny termin powinien przypadać na drugą i trzecią dekadę września (wg. protokołu komisji). Stąd też zasiewy żyta ozimego zostały zniszczone w 85 proc. w skutek wymarzenia.

Krawczyk znosi swoje niepowodzenia z godnością. Interweniuje gdzie trzeba. Na wielokrotne odmowy wykonania prac polowych, znajdując zawsze swoje racje. Kiedy w kółku mówi mu — wyczerpałeś swoje kredyty, nie będziemy dla ciebie pracować, odpowiada — zapłacę gotówką. Wie bowiem, że zadłużenia rolników wobec kółek w Wielkopolsce sięgają setek tysięcy złotych, więc nie chce pogłębiać niedoborów. Gdy to nie daje rezultatów, prosi o interwencję I sekretarza KP PZPR — Czesława Zasade.

*

Ekonomista z zawodu, wyniósł z miasta nawyki systematyczności. Pro wadził dokładny rejestr rachunków i korespondencji. Każde pismo udokumentowane podpisami, rzeczowym —



o społecznym wydzwieku — komentarzem, dużą znajomością problemu. Teczka z korespondencją stanowi pasjonującą lekturę. Każdy list do kółka rolniczego lub Powiatowego Związku Kółek Rolniczych technicznie żył. Przy czytaniu pozostaje jednak pewien niedosyt. Brak jest bowiem odpowiedzi. Zarówno KR jak i PZKR nie mają zwyczaju odpowiadać na pisma. Czyżby potwierdzała się zasada, że winny woli milczeć. W tecze jest również list prywatny do prezesa CZKR — Franciszka Gesinga. I odpowiedź, w której prezes CZKR pisze, że jego (Krawczyka) stanowisko w poruszonych sprawach jest słuszne i że na miejsce przybędzie inspektor z Centrali, dla zbadania działalności kółka. Ale od 9 maja 1966 r. — tj. od daty wysłania pisma CZKR nikt do dziś w siedzibie kółka w Radgoszczy się nie zjawiał.

W sprawie Krawczyka przybył też do Międzychodu członek Egzekutywy KW PZPR. Gdy jednak wyjechał, jeden z działaczy kółkowych ironicznie mówił do Krawczyka. — „No i co Krawczyk, wiele wam to pomogło?”

A jednak się kręci!

Przyjazd Krawczyka do Zwierzyni zmienił mimo wszystko pewne pojęcia i zwyczaje. Na jego domu — jedyna w okolicy antena telewizyjna. We wsi bez prądu! Wszystko wyjaśnia istnienie owej kilkunastometrowej wieży. To stąd Krawczyk brał energię elektryczną. Brał, bo obecnie cierpi chwilowo na brak prądu. Silny huragan zerwał bowiem urządzenie, poruszające turbinę. Nie rezygnuje jednak. W wolnych chwilach kombinuje. Zmienił założenia. Szuka teraz możliwości nabycia gdzieś zużytego lotniczego śmigła.

Obok domu Krawczyka leży hałda wapna. To też „nowość” w okolicy. Wapnowanie gleby nie jest tu w modzie, chociaż już teraz niektórzy ponoć poszli w jego ślady.

Zwierzyniec leży niemal w samym sercu puszczy nadnoteckiej, dużo tu podmokłych terenów. Do niedawna wielkie połacie bagnistego terenu kwalifikowano do miana łąk. Dopiero interwencja Krawczyka doprowadziła do zmiany klasyfikacji gruntów

Dokończenie na str. 2

Mieczysław Czulowski urodził się w 1902 roku na Wołyniu. Mając 15 lat został gońcem w zakładach metalowych w Donbasie. Tam też nawiązał kontakt z działaczami ruchu robotniczego. Za kolportaż ulotek bolszewickich był kilkakrotnie aresztowany. W okresie wybuchu Rewolucji Październikowej brał udział w rozbrajaniu carskiej policji i w walkach z kawalerią Kiereńskiego. Z kolei walczył w szeregach Gwardii Czerwonej, a następnie Armii Czerwonej. W 1921 roku został zdemobilizowany. Wrócił do zakładu w Donbasie. W 1924 został przyjęty do

WKP (b). Do wybuchu II wojny światowej pracował w Donbasie zajmując we wspomnianej już fabryce kierownicze stanowiska. Podczas wojny m.in. walczył pod Stalingradem, później w szeregach Dywizji Kościuszkowskiej WP — pod Lenino, szlak bojowy zakończył jako porucznik 2 Armii WP nad Łabą.

Mieczysława Czulowskiego, który od 1948 roku mieszka w Poznaniu, poprosiliśmy by podzielił się z Czytelnikami „Głosu” swymi wspomnieniami z minionych dni.

W pogoni za Denikinem

Wspomnienia uczestnika Rewolucji Październikowej

Od czerwca 1919 roku interwenci i białogwardziści cały ciężar walki z Republiką Rad przerzucili na front południowy. Śmiertelny cios siłom rewolucji miała zadać armia generała Denikina, która kontrolowała znaczną część Ukrainy. Po kilku zwycięskich bitwach, 12 września 1919 roku Denikin wydał rozkaz przejścia do działań zaczepnych na całym froncie. Białogwardyjskie dywizje ruszyły z trzech kierunków na Moskwę. Nad stolicą Republiki Rad zawiść niebezpieczeństwo. Wydany przez Lenina apel głosił: „Wszyscy do walki z Denikinem!”.

Byłem wówczas żołnierzem 2 pułku i korpusu kawalerii Budionnego — jednostki przekształconej później (w listopadzie 1919 roku) w 1 Armię Konną. „Pierwsza Konna”. Któż o niej nie słyszał? Komu jej nazwa nie kojarzy się z serią błyskawicznych i błyskotliwych zwycięstw?



Mieczysław Czulowski: Kto nie słyszał o „Pierwszej Konnej”?

Fot. — K. Przychodźki

Są to rzeczy powszechnie znane. Mniej znane są natomiast warunki, w jakich konnica Budionnego odnosiła sukcesy. Mniej znana jest również cena tych sukcesów.

W „Pierwszej Konnej” sporo było Polaków i sporo (800) takich jak ja nastolatków. Dostaliśmy szable, karabiny i po garści amunicji. Na razie powinno wystarczyć — mówili dowódcy — a potem będzie zdobycz. O przeszakoleniu, choćby nawet elementarnym — nikt nie słyszał. Po prostu nie było na to czasu.

Takie oddziały zostały rzucone przeciwko kilkakrotnie silniejszemu dywizjom Denikina, na ogół dobrze wyszkolonym i świetnie uzbrojonym przez zachodnich interwentów, którzy widząc wówczas w Denikinie dowódcę wszystkich antybolszewickich sił zbrojnych udzielali mu wydatnej pomocy. Doszło do tego, że nawet przygotowana dla Kołczaka broń — m.in. samoloty, czołgi, karabiny maszynowe kierowano do Denikina. Przystano mu również grupę doradców wojskowych.

A jednak ofensywa białogwardziści się załamała. Dziesięciodniowe, zacięte walki w rejonie: Charków — Zagłębie Donieckie — Rostów zakończyły się odbiciem przez czerwonych Orła Jednorożca rozbita została pod Woroneżem biała konnica Mamonowa. 20 października 1919 r. wydano rozkaz pościgu za wycofującymi się wojskami Denikina. Chodziło o nieustanny pościg, by nie dać wrogowi chwili wytchnienia. Pierwszoplanową rolę w wykonaniu tego zadania powierzono „Pierwszej Konnej”.

Konnica Budionnego rozpoczęła więc pościg za wrogiem. Nie tylko pościg. Biali, mimo zadania im decydującego uderzenia, byli jeszcze na tyle silni, że mogli stawiać zacięty opór. Stawiali go m.in. w Krzywym Rogu. „Pierwsza Konna” dopadła białogwardzistów, kiedy zajęli już pozycje przed tym miastem. Sytuacja była trudna zarówno ze względu na przewagę liczebną wroga, jak i jego wyborową artylerię. Kto wie jak potoczyłyby się losy walki, gdyby nie pomoc robotników z Krzywego Rogu, którzy przyłączyli się do czerwonej konnicy. Wskazali przejścia, dzięki którym można było uderzyć na tyły wroga. A potem walczyli razem z nami.

Przez trzy dni i trzy noce bez snu i prawie bez jedzenia, spieszona kawaleria Budionnego i robotnicy toczyli heroiczne walki z wojskami Denikina. Walki o każdą ulicę, o każdy dom, o każdy załom muru. Straty po obu stronach były duże. Spośród 120 robotników — poległo 48. Z mojego plutonu zginęło 15 procent żołnierzy. Wielu było rannych, których na koniach przewożono do polowego lazaretu. Wróg został jednak rozgromiony. Zdobiliśmy wiele broni, wzięliśmy do niewoli 600 białych. Niewoili zresztą krótkotrwałe. Po rozbrojeniu białogwardziści zostali wypuszczeni na wolność. Nie było bowiem odpowiedniej liczby żołnierzy potrzebnych do odtworzenia takiej maszyńców. Zresztą czas naglił. Stając się z wyłączenia zwycięzcy siedli więc na koniach, by kontynuować pościg za wojskami Denikina. Fakt ten chyba więcej mówi o trudzie i ofiarności czerwonoarmistów niż jakiegokolwiek hymny pochwalne na ich cześć.

Z Krzywego Rogu — po walkach o to miasto otrzymałem awans na starszego sierżanta — szlak bojowy „Pierwszej Konnej” wiódł m.in. przez Chersoń do Odessy. Tam nastąpiło ostateczne rozgromienie sił Denikina.

Spisał: MICHAŁ ŁUCZAK

Zdzisław Romanowski

Reżyseria legendy Hitlera

mównicę usuwa się. Zamiast niej obowiązkowo ustawia się na lewo od mównicy maleńki stolik, tak, aby można było na nim kłaść konspekt. Na stole powinna stać nieodkorkowana butelka wody mineralnej o pokojowej temperaturze i kilka butelek w zapasie (...) „W bardzo upalny dzień trzymać w pogotowiu lód, który w razie potrzeby Adolf Hitler używa dla ochłodzenia rąk”.

Od stałego korespondenta w Moskwie

Inne fragmenty instrukcji mówią o tym, że przewodniczący, otwierając zebrania, powinien przemawiać bardzo krótko, aby nie odciągać uwagi od wystąpienia Hitlera, polecając po zakończeniu pierwszej zwrotki pieśni „Deutschland Deutschland” lub innej, podjętej przez zebranych, wznieść okrzyk „heil” i zakończyć imprezę, gdyż „doświadczanie wykazało, że większość uczestników... nie zna tekstu następnych zwrotek”.

Uderza drobniawość zaleceń, wskazujących na to, na ile już w początkach ruchu hitlerowskiego wystąpienia Hitlera były reżyserowane.

Zapiski Rattenhubera

H. Rżewska przytacza również fragmenty nie opublikowanej do-

Otrzymałem rozkaz — pisze w swojej relacji Rattenhuber — nie irytować aresztowanego policyjnymi przepisami więziennymi i umożliwić mu swobodne spacerowanie po ogrodzie w twierdzy. Bez przeszkód dopuszczano do niego jego zwolenników i pokój Hitlera przypominał salon działacza politycznego. Oddano mu do dyspozycji maszynę do pisania, na której przy pomocy Hessa napisał „Mein Kampf”.

Po latach, w kwietniu 1933 r., Himmler rekomendował Rattenhubera na stanowisko dowódcy osobistej straży fuhrera. Hitler przyjął tę rekomendację, wiedząc, że dawny policjant będzie służył mu tak samo ślepo i posłusznie, jak służył rządowi bawarskiemu.

A w tym czasie fuhrer jawił się już Rattenhuberowi jako nadsz człowiek: „Hitler był wtedy dla mnie tym nadsz człowiekiem, jakim przedstawiała go nazistowska propaganda... Wszystko w nim wydawało mi się ważne; taką — myślałem — samozadolowaną, szczęśliwą i pewną siebie twarz powinien mieć ten, którego nazywaliśmy fuhrerem. Nawet krótko przystrzyżone włosy, starannie rozdzielone równym przedziałkiem kosmyki włosów zakrywające płaskie czoło, wydawały się czymś budzącym szacunek”. A jeszcze w roku 1920 Hitler był dla Rattenhubera „krzykliwym chłopakiem z piwiarni”.

Rattenhuber był nie tylko dowódcą osobistej straży fuhrera, kierował również służbą bezpieczeństwa w kancelarii Rzeszy. Miał więc możliwość obserwować styl życia hitlerowskich prominentów. W swoich, napisanych już w niewoli wspomnieniach, zanotował: „Hitler potrzebował „wiernych ludzi”, wiedział, że udało mu się dojść do władzy przy pomocy ludzi żądnych wywyższenia, pragnących zaspokoić swoje egoistyczne cele. Hitler otwarcie oświadczał w wąskim kręgu: „Ludzie, którzy doszli do władzy, powinni przecież otrzymać z tego coś dla siebie”.

Nowe wydanie pracy H. Rżewskiej, autorki opublikowanej w Polsce książki o prawdziwych okolicznościach śmierci przywódcy III Rzeszy („Śmierć Hitlera bez legend”), której fragmenty drukowaliśmy także w „Głosie”, zainteresuje zapewne i polskiego czytelnika.

(Interpress)

Archiwa kryją jeszcze wiele ciekawych dokumentów dotyczących okresu hitlerizmu i lat minionej wojny. Każdy nowy, nawet drobny szczegół, uzupełniający naszą wiedzę o brunatnej dyktaturze i osobie jej twórcy zasługuje na uwagę.

W Związku Radzieckim nakładem wydawnictwa „Sowietskij Pisatel” wychodzi obecnie drugie, uzupełnione wydanie dokumentalnej książki Heleny Rżewskiej „Berlin, maj 1945”.

H. Rżewska była w 1945 roku tłumaczką przy specjalnej grupie wojskowych radzieckich, zajmującej się ustaleniem szczegółów śmierci Hitlera i zabezpieczeniem dokumentów znalezionych w podziemiach kancelarii III Rzeszy.

Właśnie w obszernych uzupełnieniach do drugiego wydania tej książki radziecka pisarka podaje szereg faktów rzucających dodatkowe światło na sylwetkę fuhrera III Rzeszy, faktów opartych na znajdujących się w radzieckich archiwach hitlerowskich dokumentach.

Trzymać w pogotowiu lód!

W okresie przed dojściem hitlerowców do władzy, gdy przywódca NSDAP odbywał po Niemczech niezliczone podróże propagandowe, opracowano specjalną instrukcję dla terenowych komórek partii nazistowskiej o sposobie przeprowadzania zebrania z udziałem Hitlera. Instrukcja ustalała szczegółowo ceremonie powitania fuhrera i zawierała takie oto polecenie: „Adolf Hitler nie przemawia z mównicy. Dlatego

Człowiek który uciekł z miasta

Dokończenie ze str. 1

(nieużytki), nie tylko jego ale także sąsiadów. A to wzbudziło uznanie, nie skorych do pochwał zwierzyniec-kich gospodarzy.



„Przyjazd Krawczyka do Zwierzynicy zmienił mimo wszystko pewne zwyczaje...
Fot. — K. Przychodźki

Tuż obok zabudowań Krawczyka, kawałek pola obsiany oziminą. Sąsiedzi z niejaką zazdrością spoglądają na kiełkujące zboże. Teraz to oni spóźnili się z siewem. Intruz z miasta ich wyprzedził. Nic zresztą dziwnego, umie coraz więcej i coraz lepiej sobie radzi. Uczy się bez przerwy. Jego biblioteki fachowej mógłby mu pozazdrościć niejeden agronom. Nie tylko biblioteki, ale obecnie już i wiedzy rolniczej.

Lekcja... zapasów

Czy Krawczyk ma w okolicy wrogów? Chyba nie. Jest wielu ludzi żyjących i pomocnych. Ma ich przede wszystkim w GRN, którą odwiedza raz na tydzień. Przewodniczący GRN — Bronisław Matysiak sam kiedyś udzielił mu lekcji orki. Przyrzekł także niezwłocznie oczyścić row melioracyjny (nieczyszczony od 20 lat), co zmieni w sposób zasadniczy strukturę dotychczasowych nieużytków. Jego gospodarstwo odwiedza

stale agronom GS-u, udzielając nie tylko fachowych lecz także niezmiernie ważnych życiowych porad. Agrom jest podobno z Krawczyka zadowolony. I na odwrót zresztą.

Zaufanie sąsiadów zdobywa się dłużej i cierpliwie. Czasem przez przypadek. Kiedyś Krawczyk wracał z kilku sąsiadami z Międzychodu. Słyszeli oni o jego sportowych sukcesach, ciekawi byli jego siły. Wierzyli również we własne, że dadzą mu radę. Łąka posłużyła im za matę. Kolejno gospodarze podchodzili do klęczącego Krawczyka, usiłując przewrócić go na plecy. Nie dali rady. Tymczasem on kładł wszystkich bez trudu na łopatki. Dziwili się potem jak on to robi. Zaczęli też patrzeć na niego z większym szacunkiem.

*

Jerzy Krawczyk mówi o sobie, że to właśnie dzięki pobytowi na wsi odzyskał równowagę. W Poznaniu cierpiał na bezsenność gdy tymczasem tu w międzychodzkich lasach zasypia natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Nie zamierza rezygnować też z włożonego trudu. Pożostanie w Zwierzynicy gospodarzem.

JANUSZ MARCISZEWSKI

W Rapallo we Włoszech odbyła się ostatnio konferencja ekonomistów krajów zachodnich i krajów socjalistycznych, zorganizowana przez Centrum Badań Ekonomicznych i Społecznych w Mediolanie. Wśród około 30 uczestników konferencji był również prof. dr Edward Lipiński z Warszawy, którego po powrocie poprosiliśmy o kilka słów na ten temat.

— *Panie profesorze, jaki był cel ostatniej konferencji?*

— Jak zwykle w tego typu spotkaniach — konfrontacja poglądów na najbardziej istotne problemy ekonomiczne naszych czasów. Ilustruje to tematyka głównych referatów: „O warunkach maksymalnej sprawności systemu gospodarczego” (dwa referaty, prof. Allais z Francji i prof. Alchiana z USA), oraz „Czynnik społeczny we wzroście gospodarczym” (referat mój).

— *Zapewne były różnice zdań...*

— Naturalnie, były kontrowersje i to zasadnicze, zarówno w referatach, jak i później, w bardzo żywej dyskusji. Przeciwnikami przedstawicieli krajów socjalistycznych byli reprezentanci tzw. „liberałów” w burżuazyjnej nauce ekonomii, tj. zwolennicy swobodnej inicjatywy i nieingerencji państwa w życie gospodarcze. To, co wnieśli w swoich opracowaniach i polemikach na konferencji, było niekiedy zaskakująco naiwne — czasami odnosiło się wrażenie, jakby żywcem przeniesione z

Ekonomiści krajów socjalistycznych przeciw burżuazyjnemu liberalizmowi

XIX wieku. Np. poglądy na rolę rynku: rzekomo rynek i swobodna gra cen mają być główną, czy nawet jedyną siłą regulującą produkcję. Niewiele to ma wspólnego z rzeczywistością, także w krajach kapitalistycznych. Z drugiej strony — nie

Rozmowa

z prof. dr E. Lipińskim

można, naturalnie, pomijać w ogóle znaczenia rynku w gospodarce, niezależnie od jej typu, ponieważ produkcja bez rynku nie istnieje.

Albo problem planowania: nasi adwersarze nie widzą absolutnie możliwości, ani celowości planowania gospodarczego, choć życie przeczy temu w sposób aż nadto oczywisty, i to nie tylko w systemie socjalistycznym.

Rozważano także sprawę optymalnego systemu gospodarczego i rolę zysku. I tutaj różnice zdań były ostre. M.in. w swoim referacie, przedstawiając historyczny rozwój

znaczenia zysku i motywów rozwoju efektywnej gospodarki, starałem się wykazać, że traktowanie zysku jako żelaznego i wiecznego motywu działalności gospodarczej jest jednym z mitów „podręcznikowej” nauki ekonomicznej.

— *Panie profesorze, a przecież i u nas nawiązuje się do pojęcia zysku w planowej gospodarce...*

— Oczywiście, a co więcej, uważam, że czekają nas przecież następne jeszcze etapy reformy gospodarczej, w której już obecnie zysk zaczyna znajdować właściwe mu miejsce jako kryterium oceny sprawności działania przedsiębiorstw. Nie można jednak kategorii tej absolutnie zować, przypisywać jej znaczenia zasadniczego, bo takiego u nas mieć nie może. Zresztą, na całym świecie problem zysku wygląda dzisiaj inaczej niż np. 100 lat temu...

— *Czy cel konferencji został spełniony?*

— Moim zdaniem, tak. Chociażby dlatego, że raz jeszcze mogliśmy się utwierdzić w przekonaniu, jak bardzo mamy rację...

Rozmawiał:
KAROL RZEMENIECKI

0 sytuacji w wielkopolskim ruchu śpiewaczym

Niedobrze w ruchu śpiewaczym. Do tego stwierdzenia doszedłem przysłuchując się ostatnio odbytej w Poznaniu naradzie prezesów i dyrygentów chórów wielkopolskich. Wprawdzie wiele mówiono o pozytywnych zjawiskach, o osiągnięciach, o dobrej robocie w tym lub w tamtym zespole. Ogólnie jednak — w wystąpieniach wielu działaczy przewijał się niepokój. I sama narada w zasadzie, poświęcona sprawie ożywienia działalności, nie wiele przyniosła propozycji. Mówiono o obłożności wobec śpiewactwa niektórych przedstawieli władz powiatowych, zrzućcano winę na brak środków finansowych, wykuszanie się ofiarnych działaczy.

Sytuacja nie jest dobra. Chóry zamilkły w powiecie chodzieskim, obornickim, gnieźnieńskim. Coraz bardziej głucho w powiecie nowotomskim; powiaty wschodnie — prawie zupełnie głuche. Niektóre chóry istnieją tylko w ewidencji, płacąc składki i na tym kończy się ich praca.

Jakie są tego przyczyny? Niewątpliwie jedna z nich tkwi w telewizji, która daje ciekawy program w godzinach wieczornych kiedy to chóry prowadzą próby śpiewu. Ale — moim zdaniem — sedno sprawy leży gdzieś indziej, a mianowicie w „zestawieniu” się zarządów, w repertuarze, w zbyt formalnym traktowaniu lekcji śpiewaczych, w braku odpowiednich dyrygentów i mecenasów.

Mimo że do wielu chórów wstąpiła młodzież, jakoś nie weszła ona w skład zarządów, pozostała na marginesie kolektywu decydującego. Tym samym kolektyw nie zapewnił sobie

następców, młodych, zawczasu wdronych w pracę społeczną. Młodzież nie ma też przedstawicieli, którzy by wysuwali jej propozycje, inicjatywy, pomysły; pragnie ona włączenia w aktywne działanie, nie chce być traktowana jako bierna masa członków, zobowiązanych tylko do słuchania i wykonywania planów.

Słuszną jest propozycja dyrektora artystycznego Wielkopolskiego Związku Śpiewaczego — M. Weigta, aby nie traktować prób śpiewu jako sztywnych lekcji. Powinny to być spot-

Józef Pieprzyk

Potrzebny renesans

kania, na których ciekawie przedstawia się sylwetkę kompozytora, treść utworu, jego formę artystyczną. Po takim przygotowaniu próba śpiewu łatwiej przebiega, jest przyjemniejsza.

Dwie tendencje przejawiają się w doborze repertuaru. Jedna zmierza do odtwarzania najcenniejszych i w wielu przypadkach bardzo trudnych do wykonania utworów. Słuszne te ambicje nie zawsze odpowiadają możliwościom wykonawczym; wybiera się też pieśni i piosenki melodyjnie bardzo przyjemne, ale treść ich już nie odpowiada i śpiewakom i słuchaczom. Druga tendencja — tendencja młodego pokolenia — ma na uwadze

modne nowoczesne przeboje, rażące uszy starszych śpiewaków i melodią i treścią. Wydaje mi się, że wcale nie popełni się „grzechu śmiertelnego” przeciwko dobrej muzyce, jeśli do repertuaru wejdzie ten i ów utwór modny, ale ze względu na swoją wartość godny upowszechnienia.

Z kolei sprawa upowszechnienia. Chór — moim zdaniem — nie tylko winien popisywać się na koncertach, ale niejedną pieśń przez chór własnie powinna się upowszechnić. Na iluż to koncertach dyrygent mógłby pod swoją batutę wziąć całą publiczność w sali. Nie wypada? A przecież

ły Muzycznej w Poznaniu; ale — gdy chodzi o ich angażowanie, na przeszkodzie stoi albo brak etatów, albo brak mieszkań. Trzeba by dążyć do tego, aby w każdej gromadzie i miasteczku mógł znaleźć się absolwent Wyższej Szkoły Muzycznej. Nie może też być szkoły 8-klasowej, w której uczyłby śpiewu nauczyciel nieprzygotowany nie tylko do prowadzenia prób z chórem, ale i do działalności w zespole. Niestety, bardzo często władze terenowe skazują nauczyciela śpiewu na uciążliwe dojazdy. A to zniechęca.

Dyrygenci nie mogą też ograniczać się do raz nabytych umiejętności i wiadomości. Na seminaria do Pałacu Kultury przyjeżdża ich tylko znikomą część, czasem 10, czasem 12 — na 112 chórów!

Chórom jest potrzebny mecenat. Do tej pory związki zawodowe objęły opieką 50 zespołów. 62 borykają się z trudnościami finansowymi. Tym ostatnim właściciele sal każą sobie płacić za wynajem na spotkania. Chóry więc dorabiają zabawami, przedstawieniami; niejeden, aby się utrzymać, zamienia się w zespół sceniczny, przestając być chórem. Niewiele jest takich GS-ów jak w Dusznikach, które by wzięły pod swoją opiekę zespoły, nie kwapią się do tego kółka rolnicze, PGR-y (nie wszystkie!) i inne zakłady pracy w miasteczkach i na wsiach. W wielu przypadkach samo opłacenie dyrygenta znacznie by odciążało zarządy od poważnych kłopotów.

Jak z tego wynika przyczyny osłabienia ruchu śpiewaczego leżą w przestarzałych metodach pracy i braku młodych prężnych działaczy oraz mecenatu dla większości zespołów.

to najlepsza droga do spopularyzowania utworu. Jestem przekonany, że więcej sensu ma to niż tylko zasklepianie się w odtworczości na wysokim poziomie. Przede wszystkim zlikwidować brak rozśpiewania, w przeciwnym bowiem razie ruch śpiewaczy będzie się kruszył i stawać się będzie coraz bardziej ekskluzywny. Ze szkoda społeczną.

Niepokojący jest brak dyrygentów, jak na przykład w powiecie gostyńskim. Ten ongiś rozśpiewany powiat, zbierający uznanie także na scenach Warszawy — prawie zamilkł. Wprawdzie nauczycieli muzyki przygotowują: Studium Nauczycielskie nr 2 i Wydział Pedagogiczny Wyższej Szko-

„Wszystko dla widza”, którym usiłuje się zalać politykę rozpowszechniania filmów. Słusznie zauważa Płazewski, że ani krytyk filmowy, ani działacz kulturalny nie może uważać za szczerą nawoływanie do „powodowania się głośmem widza”.

„W każdym razie nie może być szczerze — podkreśla autor — dziś, kiedy wiadomo z góry, że ów przeciętny „widz” wybierze „Winnetou”, a nie „Nagą wyspę”. Takiego „zdana widza” słuchać bezwolnie nie można. Nie dlatego, by oglądanie „Winnetou” było czymś zdrożnym (choć jest to film naprawdę bardzo niedołężnie sklecony), ale dlatego, że nie wolno nam rezygnować ze stałego podnoszenia stopnia kultury filmowej w Polsce”.

I właśnie o podnoszenie kultury filmowej walczy autor, kiedy stwierdza, że widzowie najmłodszy, którzy stanowią trzecią część widzów naszych kin, pozabawieni są szansy dostania się w orbitę już istniejących instytucji, zajętych szerzeniem kultury filmowej (kluby dyskusyjne).

Płazewski postuluje wprowadzenie wychowania filmowego do szkół, czego nie przewidziano także w nowych programach.

„Żeby nie mówiono — pisze — żeśmy fantazji, maksymaliści, dodajmy, że gdy my w Polsce walczyliśmy o najskromniejsze choćby miejsce pod słońcem dla szkolnej wiedzy o filmie, to na Węgrzech i w Słowenii każde liceum realizuje już program maksimum w postaci specjalnego przedmiotu „filmoznawstwo”, a w ZSRR i Czechosłowacji już się przygotowuje podręczniki”.

WIDZ — NASZ PAN?

Autor zajmuje się krytyczną analizą stosowania utartego u nas sloganu

LEKTOR



„Możliwości poprawy zaopatrzenia rynku są obecnie przedmiotem szczególnego zainteresowania całego społeczeństwa. Pierwsze dwa lata bieżącego pięcioletnia przyniosły bowiem znaczny wzrost dochodów ludności, za którym nie zawsze nadążał odpowiedni wzrost dostaw wszystkich poszukiwanych na rynku artykułów”.

Tak rozpoczyna się artykuł Grzegorza Pisarskiego opublikowany w „Życiu Gospodarczym” pt. „Możliwości poprawy zaopatrzenia”. Zanim jednak zrelacjonujemy wnioski, do których dochodzi Pisarski, zapoznajmy się z niektórymi tezami komentarza J. ŚM. w „Polityce”.

RYNEK I SPOŻYCIE

Autor stwierdza, że rozwijająca się nader szybko gospodarka wchłania liczne roczniki młodzieży, przekracza się pierwotne założenia w dziedzinie zatrudnienia co wpływa na nieprzewidywalny wzrost wydatków i tempo wzrostu wydajności pracy. W rolnictwie wzrosła podaż zboża, mleka, drobiu, jaj i warzyw, a w 1965 i 1966 r. wzrosły także dostawy żywności.

„Dobra koniunktura w rolnictwie — czytamy — umożliwiła redukcję importu żywności, przy utrzymaniu w stanie nie zmienionym poziomu eksportu żywności. Tak więc zmniejszono pierwotne plany zmniejszenia wywozu produktów rolniczych, co wiąże się m. in. z koniecznością zdobycia koniecznych dewiz”.

Pomnożyły się zasoby pieniężne ludności. W pięcioletniu 1967-70 zakładano wzrost płacy realnej o 10 proc., tymczasem już obecnie, po roku i 9 miesiącach, można mówić o osiągnięciu 6-procentowej podwyżki zarobków realnych i 8-proc. podwyżki zarobków nominalnych.

„Wiadomo przy tym — czytamy — że zbyt duża rozpiętość między tempem wzrostu płacy nominalnych i realnych wpływa niekorzystnie na sytuację rynkową. Rośnie nacisk na artykuły żywnościowe o cenach ustabilizowanych, są one bowiem relatywnie tańsze (...). W sumie w budżetach rodzin najwyższe jak najniższe uposażonych nadmiernie wysoki jest udział wydatków na zakup żywności, a więc towarów pochodzenia rolniczego. Utrzymanie się takiej tendencji może wpłynąć hamująco na rozwój gospodarki kraju. Oznacza bowiem niewykorzystanie potencjału produkcyjnego w jednym wypadku i powstanie napięcia rynkowego w innym. Pozytywnym przykładem właściwej polityki rynkowej może być przemysł radiotechniczny. Dzięki właściwemu układowi cen, wzbogaceniu asortymentu i dobrej reklamie zwiększono sprzedaż radiodiodników ponad przewidziany pierwotnie plan. Podobne kroki mogłyby podjąć także inne branże produkujące wyroby przemysłowe masowej konsumpcji. Rynek mięsny nie sprosta rosnącemu potrzebom,

tym bardziej w okresie kiedy to zgodnie z planem wieloletnim w produkcji trzody nawiązuje się producentów na tuz sztuk lepszych, mięsnych (tym się m. in. tłumaczy zmniejszenie dostaw mimo utrzymania wysokiego stanu pogłowia — 14,2 mln. sztuk przy równoczesnym preferowaniu rozwoju pogłowia bydła. Jest to wyraz ogólnej tendencji do zlikwidowania importu zboża. Dalszy rozwój produkcji wieprzowiny — stwierdził na IX Plenum I sekretarz KC W. Gomułka — możliwy jest w oparciu o własne, wyprodukowane w kraju pasze. Tak więc w najbliższym czasie łatwiej będzie o sztukę mięsa niż o kotlet schabowy”.

W zakończeniu komentarza autor dochodzi do następujących wniosków:

„Rozwój gospodarki, rosnąca liczba zatrudnionych, rosnący strumień pieniędzy, towarów i usług, sprawia, że równowaga uzyskana wczoraj staje się nieaktualna dziś. Trzeba szukać nowych stabilizatorów, szczególnie że pojawiają się inni konsumenci, wczorajsi chłopcy, „wyżydemograficzny”, „wyżydemerytowy”, itp. Bezkolizyjny rozwój ekonomiczny wymaga więc utrwalenia równowagi rynkowej. Warunkiem tej równowagi jest dostosowanie podaży do popytu i odwrotnie — gdy nie ma rady — popytu do podaży (...). W każdym razie zmiana struktury spożycia jest nie tylko ważną dzwignią rozwoju ekonomicznego kraju, lecz także koniecznością społeczną. Wszystkie wskaźniki GUS-u dowodzą, że w spożyciu większości produktów pochodzenia rolniczego zbliżamy się do poziomu rozwiniętych krajów Europy zachodniej, natomiast w konsumpcji wszelkich innych dóbr, zajmujemy jedno z pośledniejszych miejsc wśród narodów naszego kontynentu”.